

Andrzej Sulima KAMIŃSKI

## LUDZIE „ZNIEWOLONEGO UMYŚLU” A EMIGRACJA\*

Dość częste wizyty „emisariuszy” z Kraju, powołujących się na związki z Solidarnością lub Kościołem, a starających się o poparcie dla Jaruzelskiego zachęcają do przedłużenia dyskusji, wywołanej artykułem Andrzeja Walickiego, a dotyczącej wyboru ugody lub też walki jako najlepszej drogi zabezpieczenia interesów narodu. Dyskusja taka wydaje się tym potrzebniejsza, że opinie głoszone przez Górnickiego czy Rakowskiego w niezbyt zmienionej formie lansują na użytek Polonii ludzie tacy jak Siła-Nowicki.

Wszystkie porozbiorowe pokolenia Polaków stawały przed wyborem walki o niepodległość lub ugody, oporu wobec narzuconej władzy lub też lojalizmu usprawiedliwianego patriotyzmem rozsądku. W każdym pokoleniu przeciwko ludziom konspiracji i podziemia stawali kolaboranci. Tylko w momentach wielkich zrywów większość narodu opowiadała się po stronie niepodległościowców. Natomiast w czasach klęski oficjalnie i lojalnie — w imieniu milczącego narodu — wypowiadali się kolaboranci, ugodowcy, a czasem nawet narodowi zaprzańcy.

---

\* Terminu „emigracja” używam w bardzo zwężonym sensie emigracji politycznej. Emigrantów zarobkowych oraz Polaków urodzonych lub wychowanych poza granicami kraju nazywam Polonią. Obie grupy mają często podobne stanowisko wobec współczesnej Polski, ale emigranci polityczni nie akceptują i nie popierają żadnego z powojennych warszawskich rządów, natomiast Polonia skłonniejsza jest do uznawania krajowego *status quo*.

\*\* *Aneks* nr 35, 1984.

Towarzysząca nam od czasów „Potopu” wiara w niezniszczalność Rzeczypospolitej Obojga Narodów, objętej specjalną protekcją Niebios, została podważona w czasie Konfederacji Barskiej i pogrzebana pod Maciejowicami. Od tego czasu powszechnemu marzeniu o mającej w przyszłości nadejść niepodległości towarzyszy strach przed konsekwencjami klęski, spadającej na naród „przedwcześnie” zrywający się do walki. Konieczność poderwania do powstania nie tylko braci herbowej, lecz całego narodu wymagała od naszych szlacheckich przodków obok daniny krwi także ofiary z ziemi. Powstanie łączyło się z myślą o rewolucji społecznej lub dobrowolnym obdarowaniu chłopów prawami i ziemią. W takiej sytuacji — z pokolenia w pokolenie — tylko małe grupy zapaleńców przygotowywały się do walki, mającej wybuchnąć nie za dziesiątki lat, lecz zaraz, za kilka miesięcy lub rok najdalej. Wystarczy wspomnieć nastroje przed powstaniem listopadowym i styczniowym, by natychmiast dostrzec dramatyczne rozdarcie między licznymi „realistami” a młodzieżą spod znaku Wysokiego czy Bobrowskiego. Na aktywnych niepodległościowców czekały szubienice, Sybir, Szlisselburg, Cytadela, Spielberg, Kufstein i Moabit.

Rozsądna większość nie pochwałała młodocianych konspiratorów, obawiając się konsekwencji ich akcji. Nastroje odpowiedzialnych patriotów najlepiej moim zdaniem oddaje cytowany przez Kieniewicza Jakub Gieysztor, który na zebraniu przedstawicieli obozu „białych” w grudniu 1862 roku oświadczył: „Jestem tak przeciwny dziś powstaniu, że wolałbym zginąć tu pod sztyletami zapaleńców — byle tylko nie dopuścić do wybuchu, ale panowie... gdy już powstanie wybuchnie — ja będę z narodem”. Odpowiadając na zastrzeżenia, dodał: „Nie, panowie, nie łudźcie się, nie oszukujcie samych siebie. Nie tylko ja, ale i każdy z was zrobi to samo”.

To nie wola czynu „czerwonych”, a także nie twarda decyzja Wielopolskiego podjęcia kolaboracji — podobno dla dobra Polaków, a wbrew Polakom — jest mottem przewodnim naszych nowożytnych czasów. Jest nim natomiast wystąpienie Gieyszтора. Nawołuje ono do trwania w oporze „bez szaleństw”, ale w ścisłym związku z narodem. Ulega licznym fluktuacjom. Często, odrzucając tak zniechęcony przez Piłsudskiego mały „rozsądek”, rzuca się w powstania i walki uliczne. Czasem poświęca wzniosłe idee dla zabezpieczenia — choćby częściowego — instytucji, środowisk i kultury.

Pamiętajmy jednak, że Jakub Gieysztor i Andrzej Zamoyski nie wybrali „mniejszego zła” dla powstrzymania wybuchu powsta-

nia. Nawet za cenę zamiany moskiewskich wojskowych satrapów na cywilny polski rząd margrabiego Wielopolskiego nie zgodzili się na współdziałanie w kolaboracji. Nazywa się ich przedstawicielami zbankrutowanej politycznie szlacheckiej. Doprawdy nawet w marksistowskiej Warszawie nieładnie tak pisać o warstwie i ludziach, którzy poświęcili dobra i życie dla swego kraju. Gieysztor Sybirem a Zamoyski wygnaniem dowiedli, że nie byli zbankrutowanymi patriotami.

Wspominam o tym, gdyż bardzo trudna jest sytuacja pokonanych, gdy przystępują do pertraktacji ze swym zwycięskim wrogiem. Często ci, którzy wybierają drogę umów i koncesji, wiele potrafią uratować, ale zawsze niezależnie od swych najlepszych intencji i wymiernych korzyści przynoszą też wiele zła. Nawet tylko pozory ugody i lojalizmu osób znanych i szanowanych powodują osłabienie ogólnonarodowego oporu i otwierają tamy dla miałkiego, niszczącego więź społeczną oportunistów. A gdzie rozplenia się oportunizm i sobkostwo, tam zwiększają się szeregi ugodowców i lojalistów. Kolaboranci uzyskują szerszą bazę dla swej działalności i już nie tylko spiskowców i konspiratorów ścigają, lecz także epigonów Andrzeja Zamoyskiego i Jakuba Gieyszтора. Przestają się interesować umowami, lecz domagają się i narzucają bezwzględne posłuszeństwo. Zamiera wtedy ruch oporu, demoralizuje się młodzież i dochodzi do akcji tak haniebnych, jak zbiórka z Kongresówki miliona rubli na dar powitalny dla wizytującego Warszawę Mikołaja II (1897 r.) przy jednoczesnym wpłacaniu groszy na Skarb Narodowy założony przez Jeża Miłkowskiego. Skarłowaciały patriotyzm trójlojalizmu i pasywizmu, mający zabezpieczyć biologiczny byt narodu i wzmocnić jego siłę ekonomiczną, doprowadził do sytuacji, w której miliony Polaków powołanych w szeregi wojsk państw zaborczych strzelało do siebie w okresie pierwszej wojny światowej. W tym samym czasie zamykały się drzwi i okna przed wkraczającymi do Kongresówki oddziałami Piłsudskiego. Niektórzy poborowi z okolic Kielc i Radomia, zamiast przyłączyć się do drużyn strzeleckich, woleli uciekać od „obcych Polaków” na wschód do „swoich” (patrz wspomnienia Sokolnickiego).

Jeśli podobny zamęt uczuć mógł opanować pokolenia dzieci i wnuków powstańców styczniowych, to obecnie jesteśmy w groźniejszej sytuacji, gdyż do lojalności i współpracy wzywa nas nie obcy zaborca, lecz — z woli Sowietów — rząd polski. Podobno już nam nie grozi powtórzenie nieszczęsnych dni pierwszej wojny światowej. Rzeczywiście, nie ma już trzech zaborców. Pozostała nam jednak służba obcym interesom. Pamiętajmy, że wojska polskie wtargnęły do Czechosłowacji w 1968 roku już nie w imię

najbrudniejszego nawet nacjonalizmu, lecz na rozkaz i w służbie sowieckiej. Wywołało to bardzo nikły sprzeciw społeczny.

Od czasów rozbiorów obce wojska utrzymywały spokój na ulicach Warszawy, Krakowa, Wilna, Lwowa i Poznania. Wojska zaborców łamały wszystkie nasze powstania. Rewolucjonistów i spiskowców ścigała obca policja. Rosyjskie wojska rozpędzały wielkie demonstracje robotnicze początków XX wieku. Obce szkoły fałszowały dzieje narodu i jego kultury. Normalna dla każdego europejskiego społeczeństwa walka z rządem o prawa obywatelskie, sprawiedliwość społeczną i demokrację w naszej dziewiętnastowiecznej historii zazębiała się z walką o niepodległość.

Ponad stuletnie zmagania z rządami zaborców zatarły w naszej świadomości narodowej pamięć czasów, w których Polacy walczyli między sobą o prawa i kształt rządu. Uwierzyliśmy, że najważniejsze jest odzyskanie Polski, o której kształcie zadecydujemy później. To oczywiste uproszczenie, wpływające z naturalnego odruchu serca, warto kontrolować. W przeciwnym wypadku ludzie zabiegający o odzyskanie ojczyzny mogą ją przyjąć nawet z łaski Hitlera lub Stalina. A wtedy ojczyzna będzie zaprzęgnięta nie tylko w służbę obcego państwa, ale też w służbę złowieszczej idei. Takimi było kilka państw europejskich w okresie Hitlera. Taka była Polska Bieruta. Takim państwem i taką ojczyzną jest Polska Jaruzelskiego.

Andrzej Walicki zdaje się argumentować, że kolaboracyjne rządy, jakkolwiek straszne, jednak osłaniają narody od uczestnictwa w absolutnie zła Oświęcimia i Magadanu. Jego zdaniem tylko zło absolutne może usprawiedliwić opór i walkę, grożącą zagładą narodu. Dla uniknięcia zagłady przyjmuje konieczność współżycia ze strasznym, lecz nie absolutnym złem kolaboracji. Moralno-państwowa zasada Walickiego przerzucona w naszą nie tak daleką przeszłość oznaczałaby w roku 1939 oddanie Korytarza, zgodę na polskiego Hachę lub też zaproszenie do Warszawy Sowietów razem z mianowanymi przez nich następcami Dzierżyńskiego i Marchlewskiego.

Nie można jednak „rozsądnie” politykować, zapominając o systemach wartości stanowiących o tożsamości narodowego dziedzictwa. Nie można bezkarnie stawiać dzieciom za wzór Traugutta i Piłsudskiego, a jednocześnie uprawiać politykę godną Wielopolskiego. Nie można pryncypialnie potępiać zła, a jednocześnie czymkolwiek innym niż własną miałkością usprawiedliwiać swoje w nim uczestnictwo.

Wysoka jest cena za zonglerkę wartościami, kształtującymi

kulturę narodową. Przez setki lat Żydzi odwracali się od pięknej tradycji Machabeuszy i Zelotów. Dzisiaj nie spotkać w Izraelu dzieciaka, który nie wdrapał się na szczyt Masady. Tam też żołnierze składają przysięgę na wierność swemu krajowi. Nasza historia pełna jest zmaganiń godnych Machabeuszy i Zelotów. Potąd się jej nie wyrzekaliśmy. Los powstańczej Starówki zbiega się z losem Masady. Jeśli chcemy nadal oddawać hołd powstańcom Warszawy, legionistom, księdzu Brzózce czy Szymonowi Konarskiemu, to jakże mamy jednocześnie promować wartości i zachowania zupełnie im obce? Walkę o zmianę naszych narodowych świętości podjęli niegdyś realiści spod znaku pracy organicznej i pozytywizmu. Ugodowcy rozmaitych odcieni prowadzą ją nadal. Wciąż jednak Polacy porywem serca stają przy Traugucie, Piłsudskim, Popiełuszcze, a nie Wielopolskim, Felińskim czy krakowskich Stańczykach.

Obywatele przedrozbiorowej Rzeczypospolitej nigdy nie akceptowali ojczyzny bez wolności. W imię parlamentaryzmu i praw politycznych narodu walczyli z własnymi królami. Znając dobrze historię Rzymu, obawiali się nadejścia polskiego Cezara. Cały wysiłek kierowali na walkę z centralizmem i monarchizmem. Przez długie dziesięciolecia byli w tej walce skuteczni. Jak większość demokracji bagatelizowali zagrożenie z zewnątrz. A Cezar w postaci trzech absolutnych władców uderzył z zewnątrz. Wraz z upadkiem suwerenności została też pogrzebana polska wolność. Najwybitniejsi z naszych przodków zawsze walczyli o przywrócenie suwerenności i wolności. Nie dawali się wciągać w służbę obcych państw i wrogich wolności idei. Dlatego nie umiem wyobrazić sobie Kościuszki, Lelewela, Hauke-Bosaka, Traugutta, Jarosława Dąbrowskiego i Piłsudskiego inaczej niż w walce z tym, co spadło na nasz kraj w 1944 roku, a co na użytek Sowietów nazwano Polską.

Druga wojna światowa i jej „rozwiązanie” spraw polskich było naszą największą klęską od czasów rozbiorów. Była to klęska tak ogłuszająca, że aż po czas Solidarności naród nie umiał się odnaleźć. Zapominaliśmy, jak się walczy i nie umieliśmy marzyć, „żeby Polska była Polską”. Nic bardziej jaskrawie nie ilustruje stopnia zagubienia i zniewolenia umysłów niż Październik 1956 roku. Poderwaliśmy się z drętwy stalinowskiej nie do walki z systemem, lecz do walki o jego reformę. Tak niski był lot naszego marzenia, że wylegliśmy na ulice z hasłami naprawy. Chcieliśmy socjalizmu z ludzką twarzą. Pamiętam tłumy — do których sam należałem — śpiewające „sto lat” Gomułce. Jakże silnie wierzyliśmy w lepszy dzień polskiego jutra w kraju niespalonego Komitetu. Dzisiaj przykro mi wspominać czasy, w któ-

rych tak wielu z nas — jak obecnie Andrzej Walicki — wierzyło, że wymuszane przez społeczeństwo zmiany ekip kolaborantów zbliżają nas do prawdziwej Polski. Zaiste wielka jest siła i zakres sowietyzacji, a więc myślenia i czucia tylko w ramach narzuconego totalitaryzmu.

W roku 1961 ani ja, ani większość Polaków nie chciała już śpiewać „sto lat” Gomułce. Gdybym jednak wtedy na ścieżce w Łazienkach spotkał Henryka Józewskiego i usłyszał, że tam w Belwederze mieszka agent sowiecki, to wydałoby mi się to stwierdzeniem zbyt ostrym. Wolałbym nazwanie Gomułki twarogowym komunistą, ciemniakiem lub anty-liberałem. Epitety te nie przekreślały bowiem nadziei na przetrwanie przynajmniej części zdobyczy Października. Nie stawiały pod znakiem zapytania sensu udziału katolików w Sejmie. Nie negowały możliwości jakiegoś tam dogadania się z „nimi” dla dobra Polski i jej kultury. Pozwalały prastarym rosyjskim zwyczajem modlić się jeśli już nie o lepszego cara, to przynajmniej o lepszego I sekretarza. Zezwalały na trwanie w normalnym życiu, odsuwając decyzję walki lub emigracji.

To zrozumiałe pragnienie normalnego życia pozwala Polakom mieszkającym obecnie nad Wisłą zapominać, że od 1944 roku — po raz pierwszy w naszych dziejach — polski żołnierz i policjant podporządkował rodaków władzy obcego państwa i złamał nawet pozory demokracji.

Po dzień dzisiejszy pomimo pamięci niesławnego okresu zwanego „walką z bandami”, pomimo zdławienia nadziei Października i użycia wojsk polskich i policji przeciwko robotnikom Poznania, Gdańska, Radomia, Nowej Huty czy kopalni Wujek, wciąż nowe ekipy kolaborantów znajdują partnerów do rozmów o przyszłości narodu. Rozmowy takie podjął Mikołajczyk, Wyszyński i robotnicy 1956, 1970 i 1980 roku. Podjęła je Solidarność i prowadzi je Kościół. Potworna jest siła sowieckiej pętli splecionej ze strachu i nadziei. Sam goły strach nigdy nas nie mógł skłonić do kolaboracji, łamie nas „rozsądeczek”, strojący się w piórka odpowiedzialności.

Ktokolwiek jednak podejmuje obecnie rozmowy z rządem, winien pamiętać, że przystępuje do pertraktacji, w których ceną za chwilowe ustępstwa jest dziedzictwo Solidarności. Związek Sowiecki będzie je niszczyć i plugawić. Nic w tym dziwnego, gdyż echa Solidarności groźne są wewnątrz imperium i trudne do zatarcia na arenie światowej. Po drugiej wojnie światowej udało się Sowietom nie tylko pozbawić nas suwerenności, ale też przedstawić naszą walkę o wolność jako przykład społecznego wstecz-

nictwa i politycznej reakcyjności. Światowa opinia publiczna, popierająca chętnie walkę o postęp i niepodległość narodów ujarzmionych, przez całe dziesięciolecia nie uznawała Polaków, Ukraińców, Litwinów, Węgrów, Estończyków i Tatarów za ludzi próbujących zwać mury więzienia, lecz za ultranacjonalistów, porywających się na szklane domy pięknej społecznej utopii. Polski, węgierski i czechosłowacki wybuch 1956, 1968 i 1981 roku przedstawiano także jako liberalizujące próby odnowy komunizmu, spychane przez miejscowych szowinistów, klerykałów i faszystów na bezdroża grożącego wojną awanturnictwa. Solidarność wstrząsnęła tym jakże wygodnym dla Sowietów obrazem świata.

Dziesięćmilionowy ruch związkowy oparty był na robotnikach. Co więcej, ruch ten podjął walkę nie z formami, lecz z istotą komunistycznego systemu. Solidarność nie chciała socjalistycznego humanizmu lub politbiura z ludzką twarzą. Była pierwszym autentycznym ruchem robotniczym, który zgromadził wokół siebie cały naród do walki z narzuconym rządem i obcym imperiaлизmem. Solidarność byłaby dumą marksistów, gdyby tak bezwzględnie nie uderzyła w ich zmumifikowaną wizję świata, gdyby w walce z komunizmem nie odwróciła się nawet od własnej socjalistycznej i antyklerykalnej tradycji wyniesionej z PPS-u.

Po czterdziestu latach rządów komunistycznych związkowcy Solidarności zastąpili hasła socjalistyczne myślami zaczerpniętymi z Dekalogu, przedzoborowych konstytucji i encyklik papieskich. Ujęli też w ręce drzewce sztandaru narodowego, odrzucając niegdyś im drogi czerwony sztandar. Na murach fabrycznych zawiesili krzyże i wizerunki Matki Boskiej Częstochowskiej. Co więcej, swe normalne robotnicze żądania praw socjalnych wtopili w wielką solidarnościową kartę praw człowieka, pracownika i obywatela. Wystąpili też w obronie narodowego duchowego dziedzictwa, niszczonego radiem, telewizją, prasą i programami szkół. Broniąc praw własnego narodu, nie umieli od razu wyrwać się z atmosfery ksenofobii, tak długo podsycanej przez rządy warszawskie, ale ich prasa podjęła dyskusję nad tematami od lat pokrytymi milczeniem. Po dziesiątkach lat oficjalnego „antysyjonizmu” ukazał się w prasie Solidarności poważny artykuł, przypominający hańbę i dramat pogromu kieleckiego. Grupy młodych intelektualistów podjęły próby zwalczania komunistyczno-endeckiego szowinizmu i wszczęcia dyskusji nad naszymi stosunkami z Ukraińcami, Litwinami i Białorusinami. W latach Solidarności moralność i intelekt wyzwalały się ze strachu i brudu totalitaryzmu. Naród odzyskiwał poczucie godności i wartości życia.

Dziesięćmilionowy związek, wyzwalaający Polskę z więziennej atmosfery, złamał polski generał i polskie wojsko. Obyło się

bez szturmów Pragi, bez Suworowa i Paskiewicza i Murawiewa Wieszatiela. Sowieci i komunizm przekleństwem grudniowej nocy dowiedli, iż mają mocniejszą w Polsce pozycję niż kiedykolwiek miał car i „prawosławne słowiaństwo”. Od grudnia 1981 roku Polacy pracujący dla dobra Moskwy tępią ludzi i idee Solidarności.

Nic w tym dziwnego, że czołgi i karabiny potrafiły złamać opór fabryk, kopalni i stoczni. Bezbronny naród można pokonać. Można go okupować. Trudniej zmusić do akceptacji klęski i poddania się woli zwycięzcy. Jeszcze trudniej do współpracy opartej na niszczeniu dziedzictwa Solidarności. A od takiego poniżenia narodu polskiego komunizm nie odstąpi. Panowanie nad ponizonymi i wzdrygającymi się przed oporem jest łatwiejsze od rządów nad społeczeństwem żyjącym w nastroju okupacji. Polski Quisling strasząc nas Suworowem zażądał, byśmy wrócili do więziennego życia. Z posłusznymi i wahającymi się prowadzi grzeczne pragmatyczne rozmówki o biologicznym przetrwaniu i polskiej racji stanu. Natomiast tych, którzy głośno dają świadectwo prawdzie, generał rozkazuje uciszyć. Stąd też więzienia, tortury i mordy.

Od upadku Rzeczypospolitej Obojga Narodów za walkę o wolność i niepodległość płaciliśmy krwią, więzieniem, zesłaniem i tułactwem. Emigracja (polityczna) rekrutowała się z tych, którzy po przegranej wybierali tułactwo zamiast podziemia lub umów ze zwycięzcą. Emigracja nie była i nie jest ani sumieniem, ani wolą lub rozumem narodu. Jest natomiast jedyną polską społecznością myślącą i działającą poza zasięgiem strachu. Była i jest kontynuacją wolnej myśli i śmiałego marzenia. Zawsze była oparciem dla walczących i trwających w oporze. Kraj decyduje o losach dni, tygodni i miesięcy. Wytycza bieg codzienności kontrolowanego przez Sowietów życia. Emigracja natomiast wywiera przemożny wpływ na kształt narodowego dziedzictwa przekazywanego kolejnym młodym pokoleniom. Jakkolwiek silne były i są rozdarcia wewnętrzne emigracji, zawsze łączy ją wrogość do kolaboracji, lojalizmu i porozumienia z wrogami. Uznanie bowiem krajowego *status quo* kończy udział w politycznej emigracji, nawet jeśli z powodów rodzinnych, zawodowych czy klimatycznych nie powoduje powrotu do kraju.

Nierzadko — od czasów polistopadowych — krajowi patrioci starali się okiełznać emigrację, nawołując ją do rozsądku i odpowiedzialności. Po dziś dzień nie tylko kolaboranci, ale także ludzie nam bliscy obruszają się na naszą emigracyjną nieodpowiedzialność. Obawiają się, że możemy sprowokować wielką krwawą łaźnię. Bzdura to przeokropna. Emigracje nawet gdy się o to starały, nie umiały wywoływać powstań. Decyduje o nich zawsze kraj. Emigracja natomiast utrzymuje ducha walki. Gdyby któraś



z naszych emigracji zaczęła nad Sekwaną, Tamizą, Hudsonem lub Zatoką San Francisco myśleć i działać wedle recepty krajowych realistów, to nie mielibyśmy Mickiewicza, Słowackiego, Norwida i Miłosza. Nie byłoby też (by wymienić kilku) Jeża Miłkowskiego, Juliusza Mieroszewskiego, Jerzego Giedroycia, Wacława Jędrzejewicza, Józefa Mackiewicza, Herlinga-Grudzińskiego. Nie byłoby ani londyńskiego *Przedświt*, ani paryskiej *Kultury*. Nie byłoby więc ludzi służących polskiej kulturze i polskiej racji stanu bez tych skurczów „rozsądku” i trwogi, które tak często ściskają serce Kraju. W czasach hitlerowskich Polak nie lękał się Polaka. Lekcję tego strachu dali nam dopiero Bierut, Gomułka i Gierek. Strach ten przywrócił po krótkim okresie Solidarności — Jaruzelski. To nie Moskale zabili księdza Popiełuszkę, Pyjasa, Przemyska i tylu innych. To przecież nie hitlerowska policja ściga Zbigniewa Bujaka. To nie przebrani za Polaków KGB-owcy wyrzucili z Akademii Nauk Geremka i przygotowali niszczącą nasze uniwersytety ustawę akademicką. To nie Sowietci wtrącają do więzienia Frasyniuka, Lisa, Michnika, Bieleckiego i Moczulskiego.

Wśród ekipy polskich wykonawców woli Kremla istnieje wiele odcieni. Są wśród nich ludzie łagodniejsi i bardziej okrutni. W obozach i więzieniach zdarza się lepsze i gorsze naczalstwo, ale czy wystarcza to dla uzasadnienia współpracy z tymi „lepszymi”?

Kolaboranci zwykle mniej zabijają niż obcy okupant, ale też bardziej niż obcy niszczą własny naród, niweczając odwagę czynu i śmiałość myśli, promując sobkostwo, obłudę i zaturację charakteru. Dla swego kraju nie mieczem są, lecz gangreną. Zawsze starają się przyciągać do siebie ludzi niezależnych. Mamią ich propozycjami warunków i pozycji, pozwalających ocalić część kultury i garstkę ludzi. Kosztem tych koncesji uzyskują osłabienie ogólnonarodowej woli oporu.

Od czasów Gomułki wciąż słyszymy głosy przekonywujące nas o tym, że nasze politbiuro próbuje się uniezależnić od Moskwy. Słyszymy też argumenty, wedle których stalinizm się skończył, a Związek Sowiecki dla swego dobra „musi” się zreformować. Inaczej mówiąc, w dobie marksizmu i dialektyki nie chce się pamiętać ani historii Rzymu, ani historii Rosji. A tam przecież różnice pomiędzy Neronem a Wespazjanem mierzone śmiercią i poniżeniem poddanych nie wynikały z odmiennych praw lub zmian politycznego porządku, lecz odmienności charakteru władców.

Nie każdy car dorównywał energią, okrucieństwem i zamiłowaniem do reform Iwanowi Groźnemu lub Piotrowi I. Nie każdy zabijał więcej własnych poddanych niż ich ginęło na wojnach

z zagranicznym wrogiem. Spokojniej oddychał Petersburg i Moskwa w czasach Elżbiety niż w czasach Mikołaja I. Spokojniej też żyło się w Moskwie Breżniewa niż w Moskwie Stalina. Na szczęście dla wielu milionów, Stalin nie znalazł jeszcze godnego siebie następcy. Nic jednak nie gwarantuje poddanym wielkiego imperium, że taki nie nadejdzie. Nic nie świadczy o tym, że mord nad milionami nie może się powtórzyć. W imperialnym Rzymie nie było praw, sił i instytucji, mogących bronić poddanych przed szaleństwami Kaliguli czy Nerona. Tak samo brakuje zorganizowanych sił społecznych i instytucji, które mogłyby posłużyć poddanym Kremla do obrony przed społecznymi i politycznymi eksperymentami dialektycznych pomazańców. Strach członków biura politycznego przed powtórzeniem się krwawej łaźni stalinowskiej może wydawać się gwarancją bezpieczeństwa tylko dla tych znawców Kremla, którzy wierzą w sowiecki pluralizm (Hough) lub w pokojowe tendencje Kraju Rad (Shulman). Także reformy gospodarcze mające nadejść w wyniku konkurencji z Ameryką i obawą przed modernizacją Chin (Brzeziński) wcale nie muszą przynieść liberalizmu.

Oświecona opinia Zachodu od lat wypatruje liberalnej fatamorgany na groźnym Wschodzie. Czyni to z zapałem proporcjonalnym do swego strachu i chętnie dostrzega w Andropowie czy Gorbaczowie materiał na następnego Aleksandra II. W imię pokoju i kwietyzmu Zachód w każdą bzdurę uwierzy. My jednak z Nowogródzyczyny, Żmudzi, Warszawy i Podlasia powinniśmy pamiętać, że to właśnie najbardziej liberalny z rosyjskich carów utopił we krwi nasze powstanie styczniowe. Nie przyłączajmy więc zbyt pochopnie naszych głosów do chóru „ekspertów” i polityków, na rozmaite sposoby skłaniających zachodnie parlamenty i rządy do polityki *détente*. Pochodząc z kraju niszczonej Solidarności, nie perorujemy, że totalitaryzm się już skończył. To przecież w naszym polskim interesie jest przypominanie światu doświadczonemu Hitlerem i Stalinem że:

*Winien jest kłamca i każdy co wierzył  
kłamcy, bo wierzyć było najwygodniej*

(Hamer)

W świetle doświadczeń chińskich, wietnamskich, kubańskich, angolskich i etiopskich nie oświadczajmy razem z Miedwiediewem i Markowičem, a wbrew Kołakowskiemu, że stalinizm, morderstwo głodem, gułagi i państwowy terror jest tylko przypadkową aberracją systemu wielkiej nadziei.

Zmian spowodowanych śmiercią Stalina nie zauważają paleni żywcem wieśniacy Afganistanu. Czołgi sowieckie i bez Stalina znalazły drogę do Budapesztu i Pragi. Nawet gdy zmniejsza się liczba więźniów gułagu i psychuszek i mniej przepada ludzi porwany z polskich domów, to czyż znaczy to, że w Moskwie lub Warszawie zwiększyły się prawa człowieka i obywatela? Czyżby istniały tam obecnie większe niż poprzednio środki społecznego nacisku na władzę?

Na pewno bezpieczniej i przyjemniej jest być poddanym dobrego cara czy też I sekretarza, niż cierpieć w czasach „błędów i wypaczeń”. Tylko ludzie wolni wybierają i kontrolują swoje rządy, natomiast niewolnicy od wieków modlą się o dobrego pana. Czyżby i dla nas nad Wisłą nadeszły czasy takich modłów? Czyż nasza posolidarnościowa klęska jest tak wielka, że wedle recepty Siły-Nowickiego mamy utrzymywać spokój, wzmacniać władzę, uciszać nieodpowiedzialnych zapaleńców i ostrożnie targować się o narodowe koncesyjki? Czy naprawdę dowodem naszej politycznej dojrzałości ma być marzenie o Kadarze? Czy marząc tak nisko, potrafimy ochronić chociażby zdobycze Kościoła i zabezpieczyć ludzkie poczucie godności? Inaczej mówiąc, czy można dążyć do wolności człowieka i suwerenności państwa, uprawiając jednocześnie malutką pragmatyczną kolaboracyjkę? Czy w zatrutej atmosferze lojalizmu mogą wyrastać następcy Kościuszki, Traugutta, legionistów i żołnierzy Armii Krajowej? Czy naprawdę warto przekonywać Polaków nad Wisłą i za granicami kraju, że rząd Jaruzelskiego jako „mniejsze zło” powinien być pod ochroną?

Na ziemi amerykańskiej polityczne takie tendencje dodają siły tym, którzy za wszelką cenę starają się pobratać z rosyjskim niedźwiedziem. Wedle nich zwierz ten najchętniej jada borówki i tylko drażniony może pokosztować ludzkiego mięsa. Namawiają nas, byśmy misia nie złościł przypomnianiem mu gułagu czy Jałty lub domaganiem się prawa do suwerenności. Od dawna narody Europy wschodniej, Kaukazu i Azji Środkowej płacą za amerykańską i zachodnioeuropejską politykę dogadywania się z niedźwiedziem. W momencie gdy dławienie Solidarności i ludobójstwo afgańskie przypomina światu istotę systemu sowieckiego, nie widzę powodów dla wychwalania taktycznych ustępstw władzy komunistycznej. Za niedopuszczalne uważam porównywanie odpowiedzialności rządu Jaruzelskiego za zabójstwo ks. Popiełuszki do odpowiedzialności rządu Stanów Zjednoczonych za morderstwo pastora Kinga. Grzechem wobec prawdy jest przedstawianie terroru jako wyskoków twardogłowych policjantów, zwalczających liberalne gołąbki. Starzy ludzie mogą pamiętać czasy, w których Hitler też był przedstawiany jako realista, zainteresowany

ekonomicznym rozwojem swego kraju i powstrzymujący wyskoki rozszalałych antysemitów.

Nie należy wmawiać Polonii wspólnoty interesów pomiędzy więźniami a dozorcami. Nie trzeba nas wciągać w akcje naprawy przeciekających dachów więziennych lub malowania laurek dla „dobrych” dozorców. Tych, którzy uwierzyli w siłę krat i których przeraża widmo więziennego buntu nie zdoła przekonać ani wiersz Miłosza, ani podziemna Niepodległość lub audycja Najdera. My jednak, będąc na emigracji, nie możemy zajmować się modernizacją cel więziennych i jednocześnie zabiegać o przerwanie dostaw zboża i technologii dla największego więzienia świata. Staramy się przecież, by dostrzegano cierpienia więźniów, a nie liberalne gesty dozorców. Próbuje przypominać, że po dzień dzisiejszy nie tylko żyją, ale i rządzą mordercy, zabijający nie w imię rasy, lecz w imię postępu i sprawiedliwości społecznej.

Oczywiście mają rację ci wszyscy, którzy ostrzegają, że w Polsce może być gorzej. Nie mają natomiast racji, przekonując nas, że Jaruzelski jest biczem na twardogłowych i dobrą zaporą przed sowieckimi czołgami. Zapominają, że Związek Sowiecki jest obecnie zajęty w Afganistanie i nie chce dodatkowych kłopotów w Europie. Solidarność, zagrażająca wewnętrznemu spokojowi imperium, została zdławiona. Na razie to wystarcza. Gdy padną — nie daj Boże — Afgani, to może przyjdzie moskiewski czas na zaostrenie kursu w Polsce. Będzie to tym łatwiejsze, im bardziej uda się Jaruzelskiemu i zwolennikom teorii „mniejszego zła” osłabić wolę oporu i zniszczyć — tak silną w trakcie Solidarności — ogólnonarodową więź społeczną.

Moskwa od dawnych carskich czasów nigdy nie lekceważyła nieprzyjaciół. Zawsze unikała walki na kilku frontach. Teraz skupiła się na Afganach. Im bardziej jest tam zajęta, tym chętniej wysługuje się kolaborantami. Nie znaczy to jednak, że nie zażąda — jak zawsze dotychczas — zaostrenia kursu w Warszawie. Sowietom nie tolerują na terenie swego imperium żadnych autentycznych ruchów społecznych, żadnych autonomicznych instytucji (Kościół). Nigdy też nie uznają dobrowolnie praw podbitych narodów do samostanowienia o sobie. Nigdy nie przestaną niszczyć kultur narodowych. Nigdy też nie będą wierzyć do końca kolaborantom, szczególnie gdy uzyskają oni chociażby cień społecznego poparcia. Zawsze, niczym w Mazepie, wietrzą w nich wallenrodyzm i starają się ich zamienić przez swoich poddanych.

Nam Polakom ani Rosja, ani Związek Sowiecki nigdy wierzyć nie będzie. Na razie polski generał jest dobry, bo złamał Solidarność, splamił mundur i zastraszył naród buntowników. Jednak

gdy cisza zapanuje w Kabulu, gdy partia odbuduje siły i znowu niczym polip wepchnie swe macki w żywy organizm społeczny, to wtedy, niezależnie od wszystkich starań ugodowców, realistów i „emisariuszy”, przyjdzie sowiecki czas na Polskę. A od Rosji i Sowieców nikt dotąd prośbami czy endecko-slawistycznymi umizgami niczego nie uzyskał. Nie liczyłbym też zbyt na zbliżającą się jakoby sowiecką reformę.

Zbigniew Brzeziński, wybitny amerykański politolog i polityk, uważa, że bez decentralizacji i zwiększenia społecznej samodzielności Związek Sowiecki nie sprosta rywalizacji z Zachodem. Przewiduje więc możliwość ewolucji w kierunku liberalizmu. W wyniku decentralizacji, modernizacji i liberalizacji oczekuje poprawy sytuacji Polski. Oczywiście można wraz z heglistami i dialektykami wierzyć w sensowny rozwój państw i społeczeństw, historycy znają jednak przykłady imperiów postępujących „nierozsądnie” i grzebiących pod swymi gruzami cywilizacje. Poza tym, jak na to wskazują losy Austro-Węgier, reformy demokratyczno-liberalne nie są zbyt pewnym lekarstwem na przeżycie, szczególnie imperiów wielonarodowych. Osobiście nie widzę Estończyków, Litwinów, Ukraińców, Gruzinów, Tatarów, Uzbeków i Łotyszy jako dobrowolnych mieszkańców nawet zreformowanego i demokratyczno-liberalnego Związku Sowieckiego. Nie wierzę, by niemiecki straszak wystarczył do utrzymania Polski w granicach imperium. Nie sądzę, by Węgrzy i Czesi chcieli się dobrowolnie tulić pod kremłowskie skrzydła.

W trakcie Wielkiej Październikowej Zmiany Warty Więziennej błysnęła na Wschodzie możliwość liberalizacji. Ani „biali”, ani „czerwoni” nigdy tego momentu nie zapomną. Od związku z prawosławiem, słowiańszczyzną i wszechrosyjską konstytuanta z jednej strony a internacjonalizmem i komunizmem z drugiej, uciekali Polacy, Finowie, Łotysze, Estończycy, Gruzini, Litwini, Ukraińcy, Kirgizi, Kazachowie i Mongołowie. Nawet Sybiracy poczuli się odrębni i wystąpili do Moskwy z żądaniem, przypominającymi listy kolonistów amerykańskich do Jerzego III. „Biali” i „czerwoni” powstrzymywali rozwalanie murów więziennych nie reformami, lecz siłą. Od tamtych czasów każdy nowy I sekretarz obawia się decentralizacji, grożącej końcem imperium. Każdy z nich chce zmian (reform) wzmacniających państwo i osłabiających poczucie zagrożenia. Każdy z nich chce więcej technologii, zboża i *détente*. Większość z nich godzi się na takie zmiany i ustępstwa, których nie może uniknąć bez groźby przegranej.

Od drugiej wojny światowej Sowietom cofnęli się tylko kilka razy. Zrezygnowali z północnego Iranu, przegrali Grecję, wyszli z Austrii i nie podjęli walki w jugosłowiańskich Apeninach. Pa-

miętając o sowieckim pragmatyzmie i ostrożnym bilansowaniu strat i zysków, marzyłem niegdyś przed „grudniową wojną”, by amerykański prezydent zagroził Moskwie zajęciem Kuby w odwet za jakikolwiek zamach na Solidarność. Żłudne to było marzenie w kraju wystawiającym świeczki na grobie nadziei. Amerykanie boją się wojny, handlują zbożem i technologią. Na amerykański Kongres i Biały Dom nie ma co wpływać najlepszymi nawet argumentami. Bez porównania więcej znaczy tu liczba głosów w miejskich stanowych i ogólnych wyborach. Dlatego amerykańska Polonia może się stać potężnym wrogiem Sowietów. Podtrzymywaniem polskich kolaborantów i wiarą w sowieckie reformy nie zabezpieczymy kraju przed wciąż wzrastającą sowietyzacją. Sowietów wstrzymywać może tylko niekorzystny bilans dużych strat a małych zysków.

Stanisław Stroński w przededniu pierwszej wojny światowej przestrzegał Polonię amerykańską przed podtrzymywaniem szaleńców i wywrotowców Józefa Piłsudskiego. Teraz przestrzegają nas przed bezwzględnym zwalczaniem grabarza Solidarności. *Cui bono?* Czyżby naprawdę uwierzyli, że generał otoczy opieką chłopstwo, zabezpieczy prawa Kościoła i pozwoli chociażby na wegetację polskiej kultury? Czy mogą na serio myśleć, że polski Quisling dostał patent na dożywotne warszawskie wielkorządstwo?

Jakimikolwiek jednak posługują się argumentami, wybrali się z nimi na amerykańską ziemię w fatalnym momencie. Po raz pierwszy od dłuższego czasu zaczęto na Zachodzie głośno dyskutować nad groźbą sowieckiego imperializmu. Rośnie w siłę ruch zmierzający do wyrwania nas z kleszczy pokojowo-miłosnych pojednań. Antysowiecki głos Polonii może być teraz dosłyszany. Zwalczając Jałtę i domagając się dla Polski prawa do suwerenności, nie możemy jednocześnie zabiegać o ulgi dla rządu warszawskiego. Poparcie dla Jaruzelskiego Zachód przyjmie jako objawy autentycznej popularności i łatwo uwierzy Urbanom głoszącym, że to tylko garstka szaleńców uprawia niepokorny machabeizm. Zanim poprosi się Polonię o poparcie dla polskich komunistów, trzeba wspomnieć miliony ludzi zamordowanych przez czerwoną Moskwę. Świat który przywykł uważać komunizm za sojusznika uciskanych mas i obrońcę pokoju, do dzisiaj (i słusznie) wzdryga się na dźwięk słowa Oświęcim, ale zamyka uszy słysząc Kołyma, Magadan, Workuta. Po dzień dzisiejszy ludzie dobrej woli łączą się z komunistami w walce z rasizmem i wyzyskiem, zapominając, że rządy komunistyczne wymordowały więcej milionów ludzi niż Hitler.

Emisariusze teorii mniejszego zła przybywający z Moskwy,

Warszawy czy Budapesztu zacierają brutalność starcia interesów społeczeństw i narodów z interesami Sowietów i komunizmu. Podbudowują nadzieje na rychłe wewnętrzne reformy bloku sowieckiego. Zachęcają do podtrzymywania komunistycznych „reformatorów”, na których kreują Gorbaczowa czy też Jaruzelskiego. Zarówno w Kraju jak i wśród Polonii wielu jest ludzi, gotowych „dla ocalenia narodowej substancji”, udzielić wsparcia własnym, „lepszym” komunistom. Postawa taka jest dość powszechna.

W Polsce dzisiejszej wszyscy poza chłopstwem są uzależnieni od jednego kasjera. Gdy kasjer zamknie okienko, kończy się normalne życie. Opozycja w takiej sytuacji wymaga wielkiego hartu ducha. Jeśli pracownik ujmie się za pokrzywdzonym kolegą i trwa w oporze, to naraża się władzy, która ma wszelkie środki — z opieką socjalną włącznie — do zemsty. W tej sytuacji ludzie wycofują się z aktywnego poparcia Solidarności. Zajmują postawy neutralne. Na razie „neutralni” zostawiani są w spokoju. Terror zwrócony jest przeciwko tym, którzy wciąż walczą. Gdy jednak padnie podziemna Solidarność, na dużo większą niż obecnie skalę zacznie się coraz natrętniejsze, coraz bardziej sowieckie stawianie ludzi przed wyborem pomiędzy „pozytywnym lojalizmem” a „niepotrzebnym” narażaniem siebie i rodziny.

Niedostrzeganie tego jest ślepotą. Nawoływanie do współdziałania z niedźwiedziem („bo i tak nie możemy go zniszczyć”) jest zaprzeczaniem naszej historycznej tradycji. Przypomina stanowisko tych powstańców styczniowych, którzy po przegranej potępili powstanie. Teraz jednak ci, którzy doradzają nam rozmówki z ekipami kolaborantów, nie odcinają się od Solidarności. Rozważają natomiast przyczyny jej klęski i odpowiedzialnością obciążają zarówno rząd, jak i „nierozważnych” zapaleńców. Tworzą atmosferę, w której wydaje się, że dobry Polak może, pod kierownictwem ludzi rozważnych i z błogosławieństwem kardynała Glempa — przynajmniej częściowo — współdziałać z Jaruzelskim. Stwarzają atmosferę, w której jest sporo miejsca dla generała, ale zaczyna go gwałtownie brakować dla Zbigniewa Bujaka.

Nakłanianie nas, mieszkających na emigracji lub nad Wisłą, do znalezienia wspólnego języka polskiej racji stanu z warszawskimi wykonawcami woli Kremla, rozbija nasz naród, obezwładnia Polonię i osłabia nas w oczach Sowietów. W zamian za pojednawcze gesty niczego nie uzyskamy. Polityki ustępstw próbował niegdyś arcybiskup Feliński. Przed konfrontacją, nawet w momencie kolektywizacji, cofał się kardynał Wyszyński. Jeden poszedł na wygnanie, a drugi do więzienia. Wyszyńskiego wyzwolił Paździej-

nik, a za uspokajanie Polaków zapłacił mu Gomułka prześladowaniami Kościoła i religii.

Od tego czasu wiele się zmieniło. Kościół wygrał wielki spór z partią o sens dziejowy naszego millenium. Kardynał Wyszyński stał się obrońcą godności człowieka, a jednocześnie orędownikiem socjalnych praw robotników, chłopów i wszystkich pracowników wielkiego koncernu, zwanego „budową socjalizmu”. Polski papież modlitwą o sprawiedliwość, miłość i ojczyznę umiał w trakcie swej wizyty dać Polakom zatracone już poczucie wspólnoty i siły. Miliony ludzi spotkało się w pieśni „Boże coś Polskę”. Msza święta łączyła robotników powstającej Solidarności.

Tak to przy współdziałaniu Wyszyńskiego i Jana Pawła II po raz pierwszy w historii Kościoła katolickiego robotnicy zasiedli w ławach kolatorskich.

Zwykle kolatorzy wywierają wpływ na instytucje Kościoła. Miłość i przywiązanie, jakie okazują robotnicy tym księżom, którzy pomimo gróźb, tortur i morderstw nadal modlą się publicznie za ojczyznę, Solidarność i wolność pokazuje, czego oczekują od Kościoła. Świadczy o tym, że wierni staną twardo przy Kościele, gdy ten oświadczy władzy *non possumus!* Przywiązanie robotników do swoich księży, tak jasno demonstrowane w czasie wstrząsającego pogrzebu Jerzego Popiełuszki, a także msze na terenie zakładów pracy i wielka miłość Polaków dla „swego” papieża bardzo niepokoją Kreml. Tradycyjnie obawia się on katolicyzmu i pozbawionych rozsądku buntowniczych Polaków. Dlatego też im bardziej widoczni są robotnicy w kolatorskich ławkach, im wyraźniejsza jest obecność księży w fabrykach, im twardsze kościelne *non possumus* i silniejsza więź społecznego oporu, tym ostrożniejsze będą sowieckie akcje na terenie Polski.

Kardynała Glempa przygniata poczucie odpowiedzialności za naród. Jest to los wszystkich porzbiworowych prymasów naszego kraju. Powinien już być wprawiony w dobrej ocenie wykrętnej mowy komunizmu. Na pewno wiele razy przeczytał więzienne zapiski Wyszyńskiego. Kieruje Kościołem wspartym o cały naród. Duchowieństwo okazuje mu uległość i posłuszeństwo. Lojalnie podtrzymują go wybitni intelektualiści *Więzi* lub *Tygodnika Powszechnego*. Ma też spore grono doradców. Oby znalazło się wśród nich więcej nowych kolatorów, a mniej wystraszonych.

Robotnik polski, niegdyś członek Solidarności, a dziś członek nowych związków, wie, że zjadł żabę i wcale mu z tym nie jest dobrze. Inteligent nie może „zjeść” żaby. Łyka ją cierpiętliwie i z godnością, jak przystało człowiekowi służącemu „świętej narodowej sprawie”. Rosną szeregi połykaczy żab. Dlatego też z roku



na rok pęcznieje „Zniewolony umysł” Miłosza. Nieubłagana sowietyzacja wciąż nowe nazwiska wpisuje na niezapisane karty. Coraz tam więcej miejsca zajmują ludzie, niegdyś wstawieni walką, a dziś — by użyć określenia Jeża Miłkowskiego — „advokaci bojaźni”, zagubieni na zdradliwej ścieżce „mniejszego zła”.

Nie zawsze jednostki i narody mają jasne drogi wyboru. Nie zawsze mogą wybierać pomiędzy dobrem a złem. Milionom mieszkańców wschodniej Europy druga wojna światowa przyniosła wybór między Stalinem a Hitlerem. Czasami jest tylko wybór pomiędzy śmiercią w walce, a śmiercią w poniżeniu. W Polsce od czasów rozbiorów istnieje wybór pomiędzy oporem, walką a kolaboracją. Jest to wybór okrutny. Można go unikać lub odwlekać, chowając się w szparach neutralności. Można starać się o demonstrowanie oporu tylko w ramach narzuconych praw, konstytucji i administracyjnych rozporządzeń. Nie można jednak współpracy z kolaborantami uznawać za służbę narodową. Nie można też, w sowieckich czasach, promować pragmatycznej ugody do rangi patriotycznego postępowania.

Symbolem patriotyzmu dnia dzisiejszego jest podziemna Solidarność. To ludziom Bujaka, a nie ugodowcom, historia narodu pozwala — poprzez dziesięciolecia — podawać rękę patriotom spod znaku Kościuszki, Konarskiego, Traugutta i Piłsudskiego. Ugodowcom i kolaborantom patronują inne nazwiska i inne przykłady.

*Andrzej Sulima KAMIŃSKI\**

---

\* A. S. Kamiński urodził się w 1935 roku w Krakowie. Studia historyczne odbył na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie oraz uniwersytecie w Stanford. Doktoryzował się na UJ w 1966 roku. Od 1969 roku na emigracji. Obecnie wykłada historię Rosji i Europy wschodniej na Georgetown University.

